

Spotkanie

z

Małgorzata Szejnert



Prowadzenie Piotr Grobliński

20 października 2010 r.

Małgorzata Szejnert

ur. 28 kwietnia 1936 w Warszawie – dziennikarka, pisarka, absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego.

Wraz z Romanem Załuskim była scenarzystką filmu „Jeśli się odnajdziemy”. Debiutowała reportażami o emigracji polskiej w USA pt. „Borowiki przy ternpajku” (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1972).

W latach 1973-81 była reporterką i kierowniczką działu reportażu w tygodniku „Literatura”. W sierpniu

1980 roku uczestniczyła jako dziennikarka w strajku w Stoczni imienia Ludwika Waryńskiego w Szczecinie, gdzie zajmowała się redagowaniem biuletynu strajkowego. W późniejszym czasie biuletyn ten przy współudziale Szejnert przekształcił się w oficjalne pismo Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” regionu Pomorza Zachodniego. Wspólnie z Tomaszem Zalewskim wydała książkę pt. „Szczecin : grudzień – sierpień – grudzień”, która ukazała się w serii Archiwum „Solidarności” - Relacje i Opracowania (Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1984).

Po wprowadzeniu Stanu Wojennego (1981) odmówiła pracy w oficjalnych pismach.

W 1984 roku wyjechała do Stanów Zjednoczonych, gdzie początkowo pracowała jako sprzątaczką, szybko jednak udało jej się znaleźć pracę dziennikarki w „Nowym Dzienniku” (Nowy Jork).

W 1986 roku wróciła do Polski. Współtworzyła „Gazetę Wyborczą”, w której przez 15 lat prowadziła dział reportażu.

Opiekunka i mentorka najwybitniejszych polskich reporterów młodego pokolenia: Mariusza Szczygła, Woj-

ciecha Tochmana, Jacka Hugo-Badera. „Śród żywych duchów” (Londyn, Wydawnictwo „Aneks”, 1990) – to opis poszukiwań autorki grobów ludzi zamordowanych w więzieniu na ulicy Rakowieckiej w Warszawie w latach 1945-1955.

W 1992 r. ukazało się wydanie krajowe 2. poszerzone książki „Stawa i infamia” (Wydawnictwo Literackie), w której zawarła rozmowy przeprowadzone z Bohdanem Korzeniewskim – reżyserem, krytykiem i historykiem teatru.

Książka Małgorzaty Szejnert „Czarny ogród” była nominowana do Nagrody literackiej Nike (2008), Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus 2008 oraz Nagrody Literackiej „Gdynia” 2008. Za „Czarny ogród” pisarka została uhonorowana Nagrodą Mediów Publicznych COGITO (2008; I edycja) oraz „Górnośląskim Tacytem”. W reportażu „Wyspa klucz” (2009) pisarka zabiera czytelników w podróż na Ellis Island, małą wyspę u wybrzeży Nowego Jorku, gdzie w latach 1892-1954 mieściło się centrum przyjmowania imigrantów. Autorka z ogromną wnikliwością odtwarza ich dramatyczne losy oraz snuje opowieść o pracownikach stacji na Ellis Island.



Z publikacji:

Borowiki przy ternpajku, Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1972.

Ulica z latarnią, Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1977.

I niespokojnie tu i tam, Olsztyn: Pojezierze 1980.

Szczecin: *Grudzień-Sierpień-Grudzień*, współautor Tomasz Zalewski, Warszawa: NOWA, 1984.

Sława i infamia, Londyn: Aneks, 1988

Śród żywych duchów, Londyn: Aneks, 1990.

Czarny ogród, Kraków: Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 2007.

Szczecin: *Grudzień-Sierpień-Grudzień*, współautor Tomasz Zalewski, Szczecin: Walkowska Wydawnictwo, 2008, (wydanie 3, poszerzone - współautorzy: Michał Paziewski, Adam Zadworny).

Wyspa klucz, Kraków: Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 2009.

Czarny ogród, Szejnert, Małgorzata / Aleksandra Klich [2007-12-03].

Dostępny <http://wyborcza.pl/1,76842,4729836.html#ixzz11g5XVPxV>

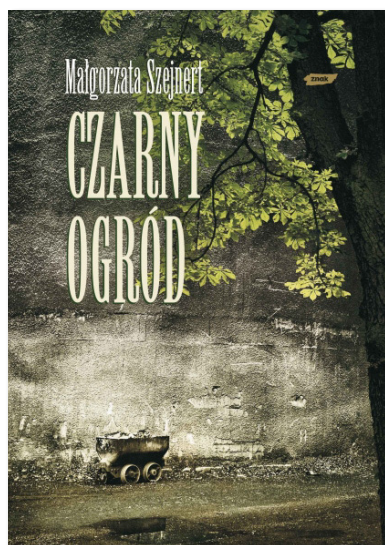


Fot. Spotkanie poświęcone książce Małgorzaty Szejnert "Czarny ogród" 12 lutego 2008, w nowej filii Szkoły Podstawowej nr 53 w Nikiszowcu przy Placu Wyzwolenia 18.

Dom - mój świat

"Czarny ogród" to opowieść o katowickim osiedlu Giszowiec. Zaczyna się jak bajka. "Sto lat temu na Górnym Śląsku powstało osiedle, w którym miały rozkwitać cnoty rodzinne i pracownicze. Domy pod wysokimi dachami z gontu stały w jabłoniach". Szybko jednak bajka zmienia się w fascynującą opowieść o śląskich rodach, a w losach Giszowca jak w soczewce odbijają się dzieje Śląska.

Na początku był sprytny kapitalista, któremu prężna niemiecka spółka Giesche powierzyła zadanie wydobywania jak najwięcej węgla ze śląskich kopalń. Wymyślił, że przekwalifikowani z rolników górnicy będą wydajnie pracowali, jeśli zapewni im się godziwe warunki życia. Czyli własny domek z szopą, ogródkiem i jabłonią - spełnienie marzeń ludzi, którzy na początku zeszłego stulecia uprawiali ziemię w okolicach granicy polsko-niemieckiej i mieli kłopot ze zdefiniowaniem swojej narodowości. Jedni czuli się Niemcami, inni Polakami, jeszcze inni mówili o sobie twardo: **Jo zech je Ślązok**.

**Małgorzata Szejnert****Czarny ogród**

Kraków: Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 2007.

Książka wybitnej dziennikarki Małgorzaty Szejnert z Warszawy, kwoki (pardon!) szkoły reporterów „Gazety Wyborczej”, która po przejściu w stan dziennikarskiego spoczynku (daj nam Boże taką energię po sześćdziesiątce!) postanowiła dogłębnie zbadać miejsce na ziemi, które znamy jako Giszowiec i Nikiszowiec. Zetknęła się z Giszowcem 20 lat temu, знаła moje filmy i zbierała materiały przez całe lata. Kiedy uwolniła się z etatu, przystąpiła do dzieła. Powstało imponujące dokonanie

sztuki dziennikarskiej, zachwycająco bogate, zawsze konkretne, ale obiektywne. Jest to historia spółki Giesche (która splajtowała w zeszłym roku), historia Niemiec, Śląska i Polski w opisywanym dwustuletnim okresie, historia powstawania życia Giszowca i Nikiszowca, a co najważniejsze - historia kilku wybranych rodów z Giszowca, które przewijają się i krzyżują przez paskudny wiek XX.

Nagromadzenie wiedzy, obfitość faktów i całego gąszczy pogranicznych losów ludzi - a zwłaszcza talent autorki - zapierają dech. Książka pani Szejnert da się przyrównać do olbrzymiego meteorytu, który spadł na naszą ziemię. To z całą pewnością „dzieło życia” autorki. Dla mnie to arcydzieło w zbiorze śląskiej tematyki, które ukazuje autentyczną magię Górnego Śląska i mądrą filozofię długiego trwania jego mieszkańców (którą pani Szejnert wyluskała w rozmowach z ludźmi) - „A my to smolymy!”.

Kazimierz Kutz

http://www.znak.com.pl/kartoteka,ksiazka,2029,Czarny_ogr%C3%B3d



Fot. "Czarny ogród" - ślubne zdjęcie Rozalii Wróblówny i Alberta Wojtka Badury, rodziców jednej z bohaterów książki - prof. Doroty Simonides [2007-11-30]. (<http://katowice.gazeta.pl/katowice>)

Kapitalista Anton Utheman, tajny radca górniczy, dyrektor generalny kopalni i hut spółki Giesche, też pochodził z pogranicza, tyle że niemiecko-belgijskiego. Może dlatego wiedział, że dla człowieka pogranicza dom jest wszystkim? Poza nim zawsze czuje się zagrożony, wszędzie wietrzy niebezpieczeństwo, nigdzie nie jest u siebie. Z okna domu może spokojnie obserwować, jak po ulicach przewala się nawałnica historii, przetaczając rewolucje, zaczynając i kończąc wojny.

Giszowiec Uthemana w niczym nie przypominał dzisiejszych zamkniętych osiedli. Nie było w nim ochroniarzy, wysokich płotów. W centrum stanęły pralnia, piekarniak (gdzie kobiety mogły upiec chleb i poplotkować), gospoda, potem również szkoła i kościół. Kopalnia za darmo dawała mieszkańcom ziemniaki i węgiel. Pierwsi lokatorzy zaczęli się wprowadzać do domków w 1907 roku. Z żonami, dziećmi, zwierzętami: - *Kto mo koza, mo wszystko. Mo mleko, mo kawa, mo różki* - mówił Paweł Kasperczyk spod Mysłowic, jeden z pierwszych lokatorów Giszowca.

Tak zrodził się świat, którego fragment zachował się na zdjęciu zamieszczonym w książce Szejnert. Górnik przodowy Karol Poloczek w satynowej kamizelce gra na fisharmonii. Obok niego smukłe córki (sopranistki) w eleganckich sukienkach i synowie (baryton) w garniturach. Muzykują. Sąsiedzi Poloczków nie mają co prawda fisharmonii, grają za to na skrzypcach lub akordeonie.

W labiryncie historii

Małgorzata Szejnert przybyła na Giszowiec, gdy już nie było śladu tej sielanki. Osiedle i jego mieszkańcy mają za sobą górnicze strajki, powstania śląskie, dwie wojny światowe, komunizm. Nie ma już świata z fotografii: trójka dzieci z fotografii - Piotr, Hugo i Berta - umarła w młodym wieku.

Pisarka wędruje po domkach ocalonych z pożogi lat 70. (na polecenie PRL-owskich władz burzono je pod wieżowce), cierpliwie zrywa kolejne warstwy. Ogląda zdjęcia, wertuje dokumenty, zmusza ludzi nienawykłych do mówienia, by opowiadali o swych

najintymniejszych sprawach. Słucha i układa historie swoich bohaterów - przedstawicieli kilku giszowieckich rodów - w kronikarskim porządku, rok po roku.

Ich losy krzyżują się, spotykają, rozcho-dzą. Zaskakujące jak pisarka - obca na Śląsku, jej rodzina pochodzi z Podlasia - świetnie się porusza w tym labiryncie powikłanych rodzinnych historii, gdzie polski nacjonalizm walczy z niemieckim, a kopalniana robota z tęsknotą za sztuką. Szejnert opowiada o ludziach, którzy przewyżniają ograniczenia historii i środowiska. Walczą ze stereotypami, własnymi słabościami i często wygrywają. Ich niezwykle losy stanowią przejmującą część tej książki. Jak to się stało, że Dorka Badura, córka kopalnianego cieśli i pomocy kuchennej, została profesorem etnologii i senatorem RP? Jej rodzinę dotykały same nieszczęścia. Jeden wujek - Antoś, polski żołnierz - zastrzelił się we wrześniu 39 roku ze strachu, że Niemcy go wezmą do niewoli. Drugiego - Alfonsa, zdolnego muzyka - Niemcy wzięli za Żyda. Zginął. Bracia Dorki trafili do Wehrmachtu, cudem się uratowali. Dorka po mężu Simonides została profesorem etnologii i senatorem RP. Za wkład w porozumienie polsko-niemieckie dostała prestiżową nagrodę Herdera.

Albo taki Ewald, który marzył, żeby zostać malarzem. Dostał się do Akademii Sztuk Pięknych w Dreźnie, ale powołano go do Wehrmachtu i zamiast do pracowni malarskiej trafił najpierw na placówkę wartowniczą w Laponii, a potem na front wschodni, gdzie został ciężko ranny. Po wojnie oskarżony o zdradę narodową miał swoje winy odkupić pracą fizyczną. Malował wyłącznie w domu, a swoje obrazy pokazywał kolegom górnikom, członkom Grupy Janowskiej. Dziś Ewald Gawlik,

zwany van Goghmem z Nikiszowca, jest uważany za najlepszego z nich, a jego obrazy są porównywane z pracami Toulouse-Lautreca.

A skąd wziął siłę Ludwik Lubowiecki, pracownik fabryki dynamitu, właściciel zakładu fryzjerskiego, pasjonat malarstwa? Gdy okazało się, że jego syn jest nieuleczalnie chory, poświęcił mu się bez reszty, a potem współtworzył ośrodek dla dzieci specjalnej troski w Giszowcu?

Wszystko to opowiedziane bez krzyku, cicho, powściągliwie. Piękną, klarowną polszczyzną, z elementami bezbłędnie zapisanej gwary. Szejnert, jedna z najlepszych polskich reporterek, przez wiele lat szefowa działu reportażu w "Gazecie Wyborczej", zawsze uczyła dziennikarzy, że tekst ma nie opisywać emocje, ale je wywoływać.

Ta powściągliwość spodobała się śląskim rozmówcom pisarki. Małgorzata Szejnert przyznaje w posłowniu, że dręczy ją myśl, czy gdyby była Ślązaczka, nie dowiedziała się więcej. Nie - jej bohaterowie zdobyli się na szczerość niezwykłą jak na mieszkańców tego regionu. Jestem przekonana, że docenili szacunek i wiedzę swej rozmówczyni. Wiedzieli, że jest zafascynowana ich światem w czysty, bezinteresowny sposób i nie robi im krzywdy.

Smola na to

W Giszowcu Szejnert wytropiła prawdę o Śląsku. Wydobyła ją spośród zapachów, smaków, obrazów dzieciństwa. Odczytała przez wspomnienia, dzięki imponującej dociekliwości i sile dystansu.

Kazimierz Kutz, reżyser i felietonista, porównał "Czarny ogród" do meteorytu, który spadł na Śląsk: - **Pokazuje**



Tam, gdzie inni widzą tylko prostą hałdę, Małgorzata Szejnert zobaczyła piękny ogród. A w katowickim Giszowcu znalazła klucz do Śląska.

autentyczną magię Górnego Śląska i mądrą filozofię długiego trwania jego mieszkańców - napisał w katowickiej "Gazecie Wyborczej".

Nie jest łatwo przetrwać w świecie, w którym nie wiadomo, kto jest Niemcem, kto Polakiem, gdzie trudno wyznaczyć granicę między górnikiem i artystą malarzem. Gdzie w każdej chwili niemiecki nacjonalizm może zastąpić polski. Ślązacy trwają, bo mają na zagrożenia jedną receptę: wycofanie.

Mówią: **"Smola na to"**, gdy deklaruję w czasie II wojny światowej narodowość niemiecką i gdy po wojnie są zmuszani do zmiany imion z Gerarda na Pawła. Nawet wtedy, gdy władza każe im się wyprowadzić z ukochanych giszowickich domków do wieżowców.

"Smola na to" - czyli nic mnie to nie obchodzi, mam dystans, są ważniejsze rzeczy w życiu.

Dzięki temu magicznemu zaklęciu Ślązacy są, trwają. Na przekór okolicznościom i dziejowym zawieruchom. Uprawiają swój zawód, sztukę, hodują gołębie. Grają na fisharmonii, a potem zostają wybitnymi lekarzami, muzykami, profesorami, pisarzami. Stąd jest w końcu nie tylko Kutz, ale i Krystian Lupa, Grzegorz Jarzyna, Ingmar Villqist, Henryk Mikołaj Górecki. No bo przecież wystarczy być.

A reszta? Gdzie miejsce na ideologie, systemy, wojny, rewolucje?

Jo to smola.



Fot. Adam Kozak / AG



Napisałam książkę „Czarny ogród”, bo bardzo byłam ciekawa tego miejsca. Byłam ciekawa Giszowca. (...) Nie zamierzałam napisać książki, która trafi do szerokiego odbiorcy, ale chciałam, by „Czarny ogród” miał taki skutek, że któryś z czytelników pojedzie specjalnie Giszowiec i Nikiszowiec zobaczyć. W końcu to niecałe 300 km od Warszawy.

Małgorzata Szejnert

Fot. Małgorzata Szejnert po odebraniu statuetki pierwszej edycji Nagrody Mediów Publicznych COGITO w dziedzinie literatury pięknej [2008]. Autot fot. Jakub Szymczuk (<http://www.polskieradio.pl/24/289/Artykul/178188,COGITO-dla-Malgorzaty-Szejnert>).

Zapełniłam lukę w historii / Małgorzatą Szejnert rozmawiała Monika Frenkiel [21-04-2009].

Dostępny <http://www.znak.com.pl/wydarzenie,nazwa,333,tytul,Zape%C5%82n%C5%82am%20luk%C4%99%20w%20historii%20-%20rozmowa%20z%20Ma%C5%82gorzat%C4%85%20Szejnert> [fragment]

Czy opracowywanie historii Ellis Island było trudne?

- W Polsce nie ma ani jednej książki o Ellis Island i to też mnie zachęciło do napisania książki. Gdy zabrałam się do pracy i zaczęłam szukać w bibliotecznych katalogach, okazało się, że ani nikt w Polsce o tym nie pisał, ani żaden z Polaków nie tłumaczył zagranicznych opracowań. Wtedy sięgnęłam do katalogów wielkich bibliotek zagranicznych i okazało się, że prac o wyspie Ellis są tysiące. To prawdziwa otchłań. Miałam dużo kłopotów z wyselekcjonowaniem materiału i kosztowało mnie to dużo pracy kompilacyjnej.

Czy były jakieś kłopoty z dotarciem do amerykańskich archiwów?

- Wręcz odwrotnie, Amerykanie są bardzo otwarci. Ucieszyli się, że ktoś chce napisać historię wyspy dla polskiego czytelnika.

Jak długo zbierała Pani materiały?

- Dwa miesiące. Mieszkałam w Nowym Jorku u rodziny, całe dni spędzałam w

Muzeum Emigracji na wyspie. Pierwszy raz popłynęłam do Stanów wiosną i spędziłam na pracy cały maj, ale byłam już bardzo zmęczona, więc musiałam wrócić. Przejrzałam materiały, stwierdziłam, co jeszcze powinnam zrobić i wróciłam w październiku, na kolejny miesiąc. A zmęczenie wynikało stąd, że codziennie z Queens musiałam jechać na koniec Manhattanu, skąd płynęłam łódką na wyspę. Na szczęście władze muzealne umożliwiły mi transport służbową łódką. Gdybym płynęła promem, trwałoby to znacznie dłużej, a i tak codziennie ta droga zajmowała mi ok. dwóch godzin.

Czy pisząc książkę czuła się Pani, jakby zapełniała lukę w naszej historii?

- W historii to może za wielkie słowo, ale na pewno w piśmiennictwie, w dokumentacji. Już dawno na ten temat powinien powstać reportaż czy jakaś praca - niekoniecznie bardzo naukowa, może popularna... Na pewno jakąś lukę zapełniłam i bardzo się z tego cieszę.

Statua Wolności od tyłu: Rozmowa z Małgorzatą Szejnert, reporterką, autorką wydanej właśnie książki „Wyspa klucz” / rozmawiała Katarzyna Janowska // Polityka - nr 15 (2700) z dnia 2009-04-11; s. 66-68. Dostępny <http://archiwum.polityka.pl/art/statua-wolnosci-od-tylu,423881.html>

Przeczytałam pani książkę i uświadomiłam sobie, że w historii Ellis Island streszczają się dzieje Stanów Zjednoczonych. Kiedy po raz pierwszy usłyszała pani o tej wyspie?

– W latach 70. przeczytałam książkę „Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych 1890–1891”, opracowaną przez Witolda Kulę, Ninę Assorodobraj-Kulę i Marcina Kulę. Dowiedziałam się z niej o dramatycznym i mało znanym epizodzie z historii emigracji polskich chłopów. Władze carskie pod koniec XIX w. uznały, że już za dużo ludzi emigruje z imperium do Stanów Zjednoczonych i postanowiły powstrzymać ten odpływ. Niezwykle okrutną i cyniczną metodą było zaarrestowanie korespondencji od ludzi, którzy popłynęli za ocean jako forpoczta, znaleźli pracę i próbowali ściągnąć rodziny. Ich listy nigdy nie doszły do adresatów.

Po latach pani sama stała się emigrantką.
– W stanie wojennym wyjechałam z synem do Stanów Zjednoczonych. Przez dwa i pół roku mieszkałam w USA, pracowałam w „Nowym Dzienniku” i przeżywałam rozterki emigrantów. Ciągłe rozważałam – zostać czy wracać, czym mi grozi życie w Polsce? A czym pozostanie w Stanach? Nadszedł 1986 r. i wschodnie baraki zaczęły się na dobre rozlatywać. Czułam intuicyjnie, że można wracać. Poza tym mój syn bardzo tego chciał. Wróciliśmy.

Pracowała pani w Stanach w swoim zawodzie, obracała się w inteligenckim środowisku. To się nijak ma do losu emigrantów z początku XX w., którzy bez znajomości języka, realiów, bez pieniędzy desperacko decydowali się ruszyć za wielką wodę.

– To prawda, choć w Stanach tłumaczyłam depesze Reutersa, a w Polsce pisałam reportaże. To jednak jest różnica. Ale praca w wolnej gazecie, nieskrępowanej cenzurą, bardzo mi się przydała, kiedy tworzyliśmy „Gazetę Wyborczą”. W Stanach przeżyłam moment swobody, poczułam, co to znaczy pisać normalnym językiem, bez stosowania tej ciągłej au-

tocenzury, która nam, dziennikarzom zza żelaznej kurtyny, weszła w krew.

Henry James napisał, że Ellis Island, przez którą przez kilkadziesiąt lat przechodzili emigranci przybywający do Stanów, jest miejscem poznania dobrego i złego. Ktoś inny, że to najtragiczniejsze miejsce na ziemi. A panią co najbardziej uderzyło w dokumentach opisujących, jak wyglądało pierwsze spotkanie imigrantów z Ameryką?

– Po przesłuchaniu wielu dziesiątek nagrań imigrantów, którzy weszli do Stanów przez wyspę, zdałam sobie sprawę, że jest ona miejscem niezwyklej kulminacji ludzkich dramatów. Zanim tam popłynęłam, myślałam o wyspie jako o wrotach do Ameryki. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że się także zatrząskiwali. Ze stacji na Ellis Island deportowano 610 tys. osób. Odsyłano tych, którzy nie przeszli kontroli służb imigracyjnych.

Imigranci przebywający na Ellis Island widzieli Statuę Wolności od tyłu.

To bardzo symboliczne.

– Niekiedy odmowa wjazdu do Stanów była szczególnie okrutna, bo rozdzielała rodziny i skazywała najsłabszych na straszny los. Pozwalano na przykład zostać matce, ojcu, trójce dzieci, a czwarte dziecko z powodu choroby czy upośledzenia odsyłano.

Co to znaczy odsyłano?

– Bardzo trudno się dowiedzieć, co się z tymi dziećmi później działo. Niektóre trafiały do dalszych krewnych, którzy zostali w kraju, inne do przytułków. Niech pani pamięta, że ci ludzie na ogół postawili wszystko na jedną kartę. Nie mieli do czego wracać.

Uczyli pani bohaterami swojej książki

pracowników tej wyspy. Byli ciekawszy niż imigranci?

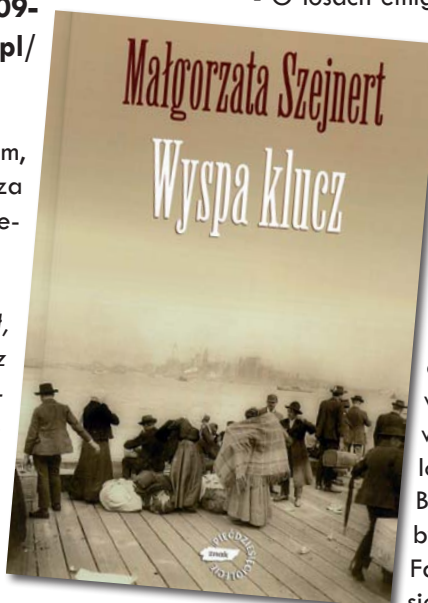
– O losach emigrantów sporo napisano, a o pracownikach Ellis Island nic nie wiedziałam. A przecież miało bezpośredni wpływ na los przybywających na wyspę. W szczytowych okresach przez wyspę przewijało się kilka tysięcy ludzi dziennie – zdezorientowanych, wystraszonych, wyczerpanych po wielotygodniowej podróży. Była to także chwila próby dla personelu.

Fala ludzka przelewała się przed tzw. sześciosekundowymi, czyli pracownikami, którzy mieli wyłowić chorych, mogących stanowić obciążenie dla Stanów. Sześciosekundowi – bo mieli mniej więcej tyle czasu na wstępną kontrolę imigranta idącego w kolejce. A przyjezdni starali się maskować swoje feletry. Jak ktoś nasunął kapelusz na oczy, mógł mieć jaglicę, zakaźną chorobę oczu, której w Stanach bardzo się bano, jeśli trzymał ręce w kieszeniach, mógł ukrywać świerzb, jeśli ugiął się pod tobołem, mógł mieć wadę postawy. Sześciosekundowi mieli na to oko i kierowali podejrzanym do następnych gruntowniejszych oględzin.

Na podstawie tego, jak zmieniał się stosunek do imigrantów, można prześledzić, jak dojrzewała demokracja w Ameryce.

– Z biegiem lat na wyspie postawiono dobrze wyposażony szpital, urządzono szkołę i plac zabaw dla dzieci, zorganizowano zajęcia dla kobiet, kursy dla analfabetów, pojawiła się zieleń, boiska do gry w piłkę i tak dalej.

Zmieniał się sposób badania imigrantów podejrzanych o choroby psychiczne i niedorozwój. Urzędnicy uświadomili sobie, że nie można w ten sam sposób egzaminować ludzi przybywających z różnych stref obyczaju. Zrozumiano, że pasterz z południa Włoch może nie wiedzieć, do czego służą przedmioty zrozumiałe dla Niemca z Hamburga. Zaczęto pracować nad takimi metodami badań, które będą się odnosić do elementarnej ludzkiej wiedzy, a nie wynikającej z doświadczenia cywilizacyjnego.



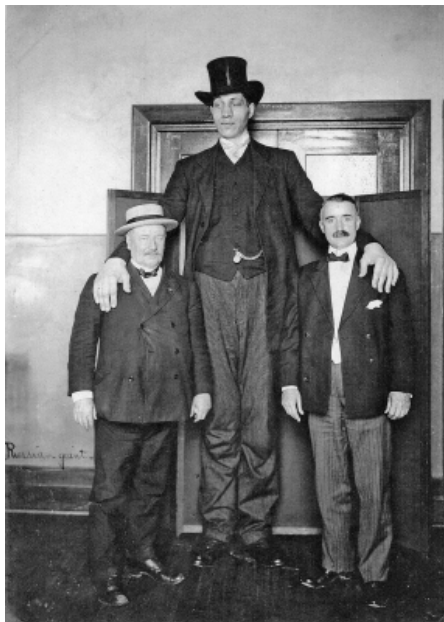
Co ciekawe, większość komisarzy wyspy zrezygnowała ze swojej funkcji przed końcem kadencji. Nie mogli pogodzić poczucia obowiązku z odruchami współczucia dla przybyszów?

- Na pewno wielu z nich przeżywało wewnętrzny konflikt. Była to posada prestiżowa i bardzo dobrze płatna, ale jednocześnie poddana stałej obserwacji społecznej. Ciągłe trwały dyskusje, wszczynane przez przeciwników imigracji, którzy domagali się zaostrzenia rygorów i powstrzymania napływu obcych. Komisarze byli poddawani ostrej krytyce. Jeśli któregoś chwalili przeciwnicy imigracji, atakowali go zwolennicy liberalizacji przepisów imigracyjnych. Komisarze musieli uczestniczyć w dramatach rozgrywających się na wyspie i często je rozstrzygać. Komisarz William Williams napisał, że to najniebezpieczniejsze miejsce na ziemi. Na ogół komisarze byli ludźmi zasad, ale zdarzały się tam także złe okresy – korupcji, naciągania, okradania i poniewierania przybyszów.

Czuje się, że ma pani swoich ulubionych bohaterów.

- Bardzo lubię pierwszego komisarza wyspy Johna Webera. I uwielbiam, po prostu kocham, pracownicę społeczną Ludmiłę Foxlee. Weber, weteran wojny secesyjnej, stara się bardzo sumiennie wykonywać swoją funkcję, jest wzorowym urzędnikiem państwowym, a jednocześnie tkwi w nim jakiś społeczny romantyzm. W 1901 r. jedzie do Rosji, żeby dowiedzieć się, dlaczego wszyscy Żydzi chcą wyjechać stamtąd do Stanów. Ten już nie całkiem młody amerykański dżentelmen, reprezentujący rząd Ameryki, zachowuje się jak rasowy reporter. Dostaje się do więzień, do przytułków, nawiązuje kontakty z różnymi żydowskimi środowiskami, często kamuflując swoją rolę, żeby tym ludziom nie zaszkodzić. I przywozi wstrząsający raport o losie Żydów w Rosji, który wpływa na stosunek władz amerykańskich do tej grupy imigrantów.

A z kolei młoda Ludmiła Foxlee, z pochodzenia Czeszka, jest wesołą, promienną osobą i bardzo ciężko pracuje, żeby pomóc ludziom, którzy zatrzymani na wyspie w kwarantannie, tracą nadzieję, nie wiedząc,



Fot. Komisarz Watchorn z rosyjskim olbrzymem (Autor fot. Augustus F. Sherman, reprodukcja z książki: Augustus F. Sherman, Ellis Island Portraits 1905-1920).

co ze sobą począć. Uczy kobiety szyć, dla mężczyzn zdobywa kolejne piłki, żeby mogli pograć, dla jakiegoś Niemca zdobywa wątrobiankę, o której marzy, dla najbiedniejszych – porządne amerykańskie ubrania od organizacji społecznych. Jest zaharowana, ale co wieczór siada i spisuje dziennik. Jej zapiski znajdują się w dziale manuskryptów biblioteki na Ellis i są fantastycznym źródłem informacji o życiu na wyspie.

Mnie się bardzo spodobał tłumacz *La Guardia*, z pochodzenia Włoch, który

mając dwadzieścia parę lat został amerykańskim konsulem w Fiume nad Adriatykiem i zrobił mnóstwo dobrego dla ludzi.

- Tak, a potem zdecydował się przypląć do Stanów, pracował jako tłumacz na Ellis Island, a jeszcze potem został najśłynniejszym burmistrzem Nowego Jorku. Zarzucano mu, że nie chodzi, tylko biega, stopy korespondencji wyrzucał do kosza, bo uważał, że są ważniejsze sprawy do załatwienia niż czytanie listów. Zbudował jedno z najbardziej ruchliwych lotnisk w USA, które ochrzczono jego nazwiskiem.

Przez Ellis Island przeszło co najmniej półtora miliona Polaków, ale z pani książki niewiele można się dowiedzieć o ich losach. Nie miała pani ochoty poszukać wnuków, prawnuków polskich emigrantów i posłuchać ich relacji?

- Zaskakujące było dla mnie, że w programie historii mówionej, który działa w muzeum na wyspie, prawie w ogóle nie ma świadectw Polaków. W latach 70. ogłaszano, żeby zgłaszać się na wyspę i opowiedzieć swoją historię. Nagrania zresztą trwają nadal, teraz rejestruje się wypowiedzi wnuków imigrantów i ludzi związanych ze stacją imigracyjną.

Może Polacy zasklepili się w swoich gettach i nie mieli odwagi ani potrzeby przyjechać na Ellis Island i nagrać swoje wspomnienia? Najwięcej świadectw pozostawili Żydzi, którzy łatwiej wtopili się w życie amerykańskie. Wiem, że w Chicago istnieje duży zbiór polskich relacji imigracyjnych, ale dotyczą one głównie adaptacji w Ameryce. A mnie intereso-

wała głównie chwila przeżyta na wyspie, a także jak wyspa – ściśle mówiąc Muzeum Imigracji na Ellis Island – utrwala tę chwilę.

Amerykanie w ostatnich latach szaleńczo próbują dokopać się do swoich korzeni. Wczytują się w manifesty zachowane na wyspie, szukają śladów swoich bliskich w internetowych encyklopediach genealogicznych. Dlaczego poszukiwanie korzeni stało się tak ważne?

- Ellis Island zaczyna się przybliżać do Plymouth Rock, czyli kamienia, przy którym zacumował statek „Myflower”. Przyplłynęli nim na Wschodnie Wybrzeże pierwsi pielgrzymi.



Fot. Targi Książki w Krakowie (<http://www.dziennik-literacki.pl/pareslowo/160,Relacja-z-13-Targow-K>)

Ich potomkowie to arystokracja amerykańska, a Plymouth Rock to kamień węgielny Ameryki. Ellis Island, ze swoimi tabunami nędzarzy, była przez lata kopciuchem przy Plymouth Rock. Oczywiście, miło jest się poszczycić rodowodem z „Myflower”, ale na to mogą sobie pozwolić tylko nieliczni, a zresztą stara arystokracja nie odgrywa już w amerykańskim życiu istotnej roli. Nowoczesną Amerykę zbudowali ci, którzy przeszli przez Ellis Island, jak na przykład rodzice Lee Iacokki, legendarnego menedżera, który zaangażował się w odrestaurowanie budynków na wyspie.



Powiedziała mi pani, że ta książka napisała się z rozpędu po „Czarnym ogrodzie”, czyli meteorycie, który spadł na Śląsk, jak to barwnie opisał Kazimierz Kutz.

- Z tą książką poszło mi łatwiej, bo opierałam się na zgromadzonych na wyspie materiałach. Mniejszą rolę odgrywały rozmowy z ludźmi, a te są zawsze najtrudniejsze.

Dlaczego rozmowy, podstawa warsztatu reportera, są takie trudne?

- Trzeba z człowieka wydobyć to, co najciekawsze, wzbudzić jego zaufanie, skłonić do mówienia o rzeczach często dla niego bolesnych.

Pojechała pani na Śląsk po raz pierwszy jako urzędniczka Instytutu Psychoneurologicznego w Warszawie (posada stanu wojennego) i wróciła do tematu po wielu latach. Często się zdarza, że tematy tak długo czekają na reporterów?

- Zdażyłam w ostatnim momencie, paru moich ważnych rozmówców zmarło, gdy kończyłam pracę nad książką. Ale 20 lat temu nie mogłabym napisać „Czarnego ogrodu”. Nie udało mi się wyciągnąć zagmatwanych relacji polsko-niemieckich, nakłonić Ślązaków do opowiadania o losach wojennych, o walce w Wehrmachcie. Teraz też nie było to łatwe. Musiałam długo czekać, by państwo Kasperey (oba już nie żyją) pokazali mi swą korespondencję z czasu, gdy pan Kasperczyk leżał w lazarecie jako żołnierz niemiecki. Przekonałam ich, że

to piękne listy miłosne, że nie trzeba się ich wstydzić.

Reporterzy miewają obsesję na punkcie szczegółów. Dla pani szczegół też jest ważny?

- W najwyższym stopniu. Pisząc „Czarny ogród” szukałam szczegółów odróżniających życie Ślązaków od obyczajów mieszkańców innych części Polski. Na przykład zachwyciłam się kolkastką. Ta metalowa skrzynka stoi w kuchni koło pieca i jest pomalowana na biało, a przecie gospodyni trzyma w niej węgiel. Co za przekora. Wyobraziłam sobie, że w ten sposób

węgiel zostaje udomowiony, że często tak groźny dla górników, tu leży sobie grzecznie jak dziecko w białej kolebce. Ale obok metafizyki kolkasta mówi po prostu o schludności Ślązaków.

Kim jest reporter? Szkoliła pani przez 15 lat reporterów „Gazety Wyborczej”, którzy teraz odnoszą sukcesy.

- Kim jest? Nie umiem na to odpowiedzieć. Nigdy nie teoretyzowałam, nie mam takiego talentu, zawsze podchodziłam praktycznie do pracy. Na początek zastanawialiśmy się nad tematem. Pierwsze pytanie, wzajemne, do nich, do mnie: czy to ciebie interesuje? Bo uważam, że reporter może napisać dobry tekst tylko o tym, co jest interesujące dla niego samego. Starałam się uszanować ich styl pisania, nie przerabiać na własną modłę. Prosiłam tylko, żeby nie pisali niepotrzebnych słów.

Kapuściński mówił, że reportaż oderwał się od mediów, które teraz są nastawione na news, że zbliża się do literatury.

- To prawda. Kiedyś reporter zajmował się opisywaniem bieżących wydarzeń, teraz stanowią one domenę szybkich mediów elektronicznych. Dziś reporter nie będzie tak jak kiedyś Egon Erwin Kisch (który zresztą wiele wątków zmyślał) opisywał pożaru. Musi znaleźć coś, co wychodzi poza sam wypadek. Opisać psychologię wydarzenia. Jego istotne głębokie skutki albo przyczyny. Wte-

dy zaczyna się literatura. Ale proszę zauważyć, że reportaż coraz częściej sięga do historii. Czyżby teraźniejszość była już za bardzo rozpoznana?

Ale reporter musi trzymać się faktów. W literaturze można sobie pozwolić na fantazję. Jeśli w swojej śląskiej książce rekonstruuje pani jakieś wydarzenia, to znaczy, że sprzeniewierza się pani reporterskiej wierności prawdzie?

- Jest to rekonstrukcja uwiarygodniona i właściwie nie mogę sobie wyobrazić, żeby opisywana scena w rzeczywistości wyglądała inaczej. To tak jak obudowa zabytku. Nie odtwarza się go według własnego widzimisie, ale na podstawie wiedzy historycznej, rysunków, planów, fotografii, relacji ludzi, którzy go widzieli. Z tekstem jest podobnie.

Ciekawe, że teksty bazujące na faktach wypierają dziś powieść.

- Naturalnie. Śmieję się, kiedy słyszę, że pismo „Press” lansuje tezę o kryzysie reportażu. Tymczasem na ogłaszany przez nich konkurs wpływa najwięcej reportaży, choć jest to gatunek trudny, elitarny. A jaka masa wspaniałych książek reporterskich, polskich i tłumaczonych na polski czeka na nas w księgarniach.

Każdy może być bohaterem reportażu?

- Każdy, kto ma jakąś sprawę, która może poruszyć czytelnika. Śląskie relacje, które zebrałam, mówią po prostu o życiu.

Życie musi zostać w reportażu skrócone?

- Właśnie tak.



Piotr Grobliński (1966)

- poeta, redaktor

Wydawnictwa Kwadratura i serwisu informacji kulturalnej Reymont.pl. Pracuje w Ośrodku Literacko-Wydawniczym ŁDK.



WiMBP zaprasza



28 października 2010 o godz. 13⁰⁰

na spotkanie

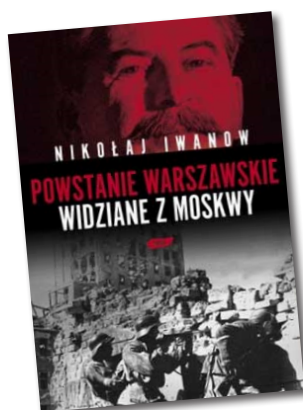
Syberia - więzienie bez dachu

Gośćmi spotkania będą Sybiracy,
członkowie Łódzkiego Oddziału Związku Sybiraków:

- **Teresa Gutowska** - urodzona na Polesiu, 10 lutego 1940 roku wywieziona do obwodu Archangielskiego
- **Janina Kępińska** - deportowana do Kazachstanu z bratem bez rodziców, 13 kwietnia 1940 roku, na zesłaniu przebywała w tamtejszych Domach Dziecka
- **Hanna Przybył** - deportowana spod Ostrołęki na Syberię do Altajskiego Kraju w 1941
- **Michał Makatun** - urodzony w Kazachstanie
- **Mieczysław Wutke** - zesłany 13 kwietnia 1940 do północnego Kazachstanu



Spotkaniu będzie towarzyszyła wystawa „**Syberia - więzienie bez dachu**”,
prezentowana w holu wystawowym Biblioteki **od 25 października do 10 listopada br.**



18 listopada 2010 o godz. 17⁰⁰

na spotkanie

z Mikołajem Iwanowem

Mikołaj Iwanow (Nikołaj Iwanow)

- ur. w 1948 r. w Brześciu, rosyjski dysydent, historyk,
dr. hab., profesor Uniwersytetu Opolskiego.

Działał w grupie rosyjskich młodych socjalistów, którzy z jego inicjatywy skierowali odezwę do I Zjazdu Solidarności w 1980. Za działalność w tej grupie był wielokrotnie przesłuchiwany. W 1984 zamieszkał w Polsce, współpracował z Solidarnością Walczącą. Był redaktorem Biuletynu Dolnośląskiego. W 1989 nawiązał współpracę z Radiem Wolna Europa - przez piętnaście lat pracował w jego sekcjach białoruskiej i kaukaskiej. Obecnie pracuje w Zakładzie Historii Najnowszej Uniwersytetu Opolskiego oraz Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego.



Prof. Mikołaj Iwanow
Fot. Maciej Świerczyński / Agencja Gazeta

Z publikacji:

Polacy w Związku Radzieckim w latach 1921-1939 (Wrocław : Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, 1990)

Pierwszy naród ukarany : stalinizm wobec polskiej ludności kresowej 1921-1938 (Warszawa : Agencja Omnipress, 1991)

Pierwszy naród ukarany : Polacy w Związku Radzieckim 1921-1939 (Warszawa ; Wrocław : Państw. Wydaw. Nauk., 1991)

Powstanie Warszawskie widziane z Moskwy (Kraków : Wydawnictwo Znak, 2010)



Wybór, opracowanie materiałów i skład: Dział Metodyki, Analiz i Promocji WiMBP w Łodzi

Nakład: 100 egz.

Numery BiBiKa dostępne są na stronie www.wimbp.lodz.pl w dziale **Wydawnictwa własne**

**Nagroda im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki:
wypowiedź Małgorzaty Szejnert wygłoszona
podczas konferencji prasowej [2010-01-22].**

Dostępny http://warszawa.gazeta.pl/warszawa/1,34889,7484332,Nagroda_im_Ryszarda_Kapuscinskiego_za_reportaz_literacki.html#ixzz123O310kF

Dlaczego ta nagroda - międzynarodowa?
- Bo warto się zmierzyć z kolegami z innym doświadczeniem. Polski reportaż jest dobrze notowany na świecie i dojrzał już do takiego wyzwania. A jednocześnie może się dzięki takiej konkurencji wiele nauczyć.

Polscy reporterzy mają o sobie dosyć dobre mniemanie, głównie dzięki sukcesom patrona tej nagrody i paru jeszcze innych wybitnych autorów. Ale wszystkim reporterom, także tym, których nazywamy "krajowymi", chociaż to pojęcie coraz bardziej traci sens, potrzebny jest ciągły kontakt ze światem i ciągle doskonalenie warsztatu i poszerzanie horyzontów myślowych, a nawet, mówiąc patetycznie, duchowych. Ten konkurs sprzyja takiemu kontaktowi i rozwojowi.

Istnieje także szansa, że konkurs ten będzie uczył nie tylko reporterów polskich, ale także zainteresuje polskim reportażem, a w konsekwencji Polską - autorów zagranicznych, których książki znajdują się na liście konkursowej. Pozyskanie uwagi tych reporterów wydaje mi się bezcenne.

Przez wiele lat żyliśmy w izolacji. Dobrze ją pamiętam. Od dawna już ją przełamujemy, ale to nie jest proces ani łatwy ani szybki. Większość reporterów polskich ciągle nie czuje się na świecie tak swobodnie, jak ich koledzy z agencji anglosaskich, francuskich czy niemieckich. Brakuje nam jeszcze swobody językowej, kontaktów, które wolna prasa zbudowała sobie przez dzieściolecia, a nawet stulecia, nie mówię już o możliwościach materialnych, bo to inna sprawa. Możliwość udziału w konkursie, do którego staną prace najlepszych reporterów światowych na pewno doda nam, polskim reporterom pewności, energii i siły do pracy, którą czasem przeklinamy, ale kochamy i chcemy w niej być coraz lepsi.

Główną trudnością będzie dla jury ustalenie granic reportażu. Czy esej historyczny albo biografia z elementami reportażu jest reportażem? Czy mamy rozpatrywać książki, które na pewno

należą do literatury faktu i są niezwykle wartościowe, ale odbiegają od tego, co zwykliśmy uważać za reportaż, to znaczy od żywego bezpośredniego uczestnictwa i opisu? Jakim pozycjom dać w konkursie pierwszeństwo? Te dylematy wiążą się z samą istotą tego gatunku, która jest płynna, ruchliwa, trudna do określenia. Kiedy mówimy o powieści, mniej więcej wiemy, co to jest, tak samo wiemy mniej więcej, co to jest powieść fantasy, co to jest opowieść kryminalna. Z reportażem jest gorzej i coraz gorzej, bo reportaż jest żarłoczny, dynamiczny i zagarnia coraz to nowe obszary. Także poezji. Znam poematy, które można by na upartego zgłosić do konkursu na reportaż. Więc jury będzie miało trudny orzech do zgryzienia.

Piekło czy dieta? / Małgorzata Szejnert // Gazeta Wyborcza 1999, nr 183, dod. Wysokie Obcasy, s. 4.

Rozważania Wojciecha Eichelbergera o samotności przypominały mi pewną rozmowę, o której zresztą nigdy nie zapominał na dobre. Otóż pewnego dnia zapytałam mojego krewnego, mądrego benedyktyna, jak wyobraża sobie piekło. - Jako nieskończoną samotność - odpowiedział.

Nigdy przedtem nie myślałam o tym, że samotność może być tak straszną karą, chociaż zdarzało mi się nieraz cierpieć z jej powodu. Te powody jednak były zawsze doraźne - nie dotrzymał mi towarzystwa ktoś, z kim właśnie chciałam być. Więc to raczej nie samotność była cierpieniem, ale zawód sercowy albo towarzyski. Zawsze mi się wydawało, że nie boję się samotności jako stanu.

Z niezliczonych cytatów o samotności, zawsze bliższe mi były te, które ją chwaliły, niż te, które traktowały ją jako dopust. "Nie jest dobrze być człowiekowi same-mu" - powiedział Bóg przed stworzeniem Ewy (Księga Rodzaju). To słowa, których nie można podważyć. Ale mnie się bardzo podoba buntownicza myśl w jednym z opowiadań Karen Blixen, że kobieta została skrzywdzona brakiem samotności w raju, w którym wyprzedził ją Adam. Kasprowicz pisał o samotności, że to "świątynia pełna lśniących bram, otwartych w przestwór". Mickiewicz wołał: "Samotności, do ciebie biegnę jak do wody z codziennych życia upałów". Cyцерo przytaczał słowa Katona "Nigdy nie jestem mniej samotny, niż gdy jestem sam". Stary Goethe zwierzał się Eckermannowi, że

Miasto Stołeczne Warszawa ustanowiło Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego, która będzie przyznawana co roku autorowi najlepszego reportażu literackiego. Partnerem Miasta przy organizacji konkursu jest "Gazeta Wyborcza". Honorowy patronat nad nagrodą objęła żona pisarza, Alicja Kapuścińska. [więcej informacji http://www.agora.pl/agora_pl/1,66465,7481290.html]

byłby szczęśliwy, gdyby mógł więcej żyć w samotności. Vauvenargues pisał, że samotność jest dla człowieka jak dieta. Ten pogląd francuskiego moralisty cieszy mnie szczególnie - z zapalem uprawiam diety.

A jednak przy życzliwym stosunku do samotności (i przy ograniczonej wierze w piekło), przejęłam się słowami mego krewnego, zakonnika. Dlaczego? Nie od razu znalazłam wytłumaczenie. Podsunął mi je Władysław Tatarkiewicz w traktacie "O szczęściu".

Według Tatarkiewicza "przyjemności samotności bierze się nie tylko z siebie. Zawdzięcza się je naturze, książkom, które się w samotności czyta, przeróżnym rzeczom, z którymi się wówczas styka. Bo samotność zupełna, w której by zerwane były związki nie tylko z ludźmi, ale także z naturą i wytworami ludzkimi, taka samotność się nie zdarza. Nie była udziałem Robinsona na samotnej wyspie; nie jest udziałem więźniów w samotnej celi". Otóż wizja benedyktyna była wizją całkowitego odtrącenia, samotności zupełnej, nieludzkiej, takiej, jaka się nie zdarza na ziemi. Dlatego wydała mi się straszniejsza niż obrazy średniowiecznych malarzy sądu ostatecznego.

Myśl „samotność zupełna się nie zdarza” (przynajmniej w życiu doczesnym) jest prawdziwym darem. Trzeba ją sobie zachować na trudne chwile, kiedy będzie się nam wydawało, że jesteśmy samotni naprawdę. [...]

To była bomba / Małgorzata Szejnert // Gazeta Wyborcza 2000, nr 60, dod. Wysokie Obcasy, s. 3.

Trencz i szyfonowe falbanki (modne nowości, które pokazujemy na stronie 18.)? Możliwe, że bez tego już się nie da żyć, przynajmniej tej wiosny.

Ja pewnie przeżyję. To ładne, ale mogę się obejść. Nie będą te sztandary wiosennej mody decydowały o moim losie.

Nie zawsze jednak byłam taka odporna. Kiedy sięgam daleko pamięcią, znajduję przynajmniej trzy sztuki odzieży, które wywarły wpływ na moje życie.

Pierwszą była bombka, lekka spódniczka za kolana, wydepta na sztywnej krochmalonej halce. Był koniec lat 50., rodzaj żeński dopiero co zrzucił zieloną koszulę i wypełził z bezkształtnej spódnicy. Dziewczyny, które miały podawać cegły, odkrywały swe giętkie talie i lekkie stopy i z radością przeobrażały się w Colombiny.

Na drugą "tendencję" czekałyśmy, a raczej czekali (bo dotyczyła ona obu płci), mniej więcej dekadę. Na przełomie lat 60. i 70. naszymi marzeniami zawładnęły niebieskie ścieralne dżinsy z mosiężnymi nitami. Było to pożądanie zdumiewająco świeże i żywe - wobec faktu, że portki te wymyślono w połowie dziewiętnastego stulecia dla kalifornijskich awanturników. O ile bombki przeobrażały nas w kobiety, o tyle dżinsy dawały poczucie wspólnoty ze światem. W dżinsach czuliśmy się nowocześni, zachodni, wyluzowani. Szło się w nich wygodnie, długimi krokami. Nie wiedzieliśmy raczej, dokąd wiodła droga, ale można było sądzić, że nieco dalej.

W tym samym mniej więcej czasie przytrafiła się memu pokoleniu zaskakująca przygoda z mini. Pewnego dnia wzięłam nożyce i obciąłam sukienkę na wysokości 35 cm od dołu. Nożyce pracowały wtedy powszechnie, bo miasto zaroilo się od dziewczyn wyglądających lekko-myślnie i trochę śmiesznie; ich wesoły bezwstyd pięknie kontrastował ze szpetną cnotą ulicy.

Bombka uświadomiła mnie i rówieśnikom, że jesteśmy powołane do roli dziewcząt, a nie babochłopów, dżinsy, że jest jeszcze jakiś inny świat, a mini ukazało i nam, i światu naszą przyjemną cielesność.

Mogłabym wymienić wiele innych tendencji, jakie musnęły mnie w ciągu tych wielu lat. Ale nie warto, bo nie miały one żadnego znaczenia. Liczyły się w moim życiu bombka, dżinsy i mini. Jestem im naprawdę zobowiązana. Prawdziwa "tendencja" drzemie w nas i w okolicznościach naszego życia. Projektant musi ją tylko obudzić. Taka prawdziwa "tendencja" pozostaje z nami na długo. Bombka, dżinsy i mini poszły już na szmaty, a ja mam je ciągle w bagażu.

Placku, zostań z nami / Małgorzata Szejnert // Gazeta Wyborcza 2002, nr 221, dod. Wysokie Obcasy, s. 4.

Wszyscy smażą, wszyscy lubią placki ziemniaczane, to potrawa codzienna - zapowiada Marta Gessler.

Wszyscy lubią - zgoda. Ale dwa pierwsze i dwa ostatnie słowa tego manifestu budzą wątpliwości.

Potrawy niegdyś codzienne, bo tanie i z dostępnego surowca, wynoszą się z menu ludzi pracujących. Awansują na stół niedzielny albo stół dla gości. Trwałość awansu zależy głównie od tego, czy drożeje czas przeznaczony na tarcie ziemniaków, skrobanie marchewki, lepienie pierogów czy wytapianie smalcu z jabłuszkami. Wiadomo, drożeje. Więc pracochłonne przestaje być codzienne, przenosi się powoli w sferę luksusu, a nawet snobizmu.

Bywa, że pociąga za sobą w tę sferę inne rzeczy proste czy raczej prozaiczne, na zasadzie kompozycji estetycznej. Jakiś czas temu zaproszono mnie na parapetówkę. Zaproponowałam, że przyniosę owoce. - Dobrze, ale nie winogrona albo pomarańcze. - Dlaczego? - Bo będzie po wiejsku.

Postarałam się o zacofane szare renety, które jakoś przetrwały reformy profesora Pieniążka. Bardzo pasowały.

Za awansem kaszy czy placków stoi jednak nie tylko nowy koszt czasu czy zamiar kompozycyjny. To znacznie bardziej skomplikowane i okazuje się, że już było. Ostatnio, czytając na nowo "Lalkę" Prusa, natknęłam się na zastanawiającą scenę:

Do salonu panny Izabeli wchodzi dwaj bardzo eleganccy młodzi ludzie, pan Rydzewski i pan Pieczarkowski. Jed-

nakowo się uklonili, jednakowo usiedli, jednakowo założyli nogę na nogę i pan Pieczarkowski zaczął mówić bez wytchnienia o zbliżającym się przyjęciu u państwa Rzeżuchowskich.

"- Coś zachwycającego, coś oryginalnego!... powiadam pani - mówił. - Kolacja, rozumie się, jak zwykle: ostrygi, homary, ryby, zwierzyzna, ale na zakończenie, dla amatorów, wie pani co?... Kasza!... Prawdziwa kasza... jakaż to?..."

- Tatarska - wtrącił pierwszy i ostatni raz pan Rydzewski.

- Nie tatarska, ale tatarczana. Coś cudownego, coś bajecznego!... Każde ziarno wygląda tak, jakby oddzielnie gotowane... Formalnie zajadamy się nią: ja, księżę Kielbik, hrabia Śledziński... Coś przechodzącego wszelkie pojęcie... Podaje się zwyczajnie, na srebrnych półmiskach..."

Ja bym chciała, żeby placki, które przepisuje nam Marta Gessler, pierożki i kasza na sypko, nie miały podwójnego życia - między domem bardzo biednym, gdzie ciągle jest jeszcze czas i kartofel, i półmiskiem dzisiejszych Rzeżuchowskich, którzy mają służbę. Ale żeby zachowały trzecie życie, pośrodku, na przekór tym wszystkim elektronicznym urzędziom kuchennym, w które wmontowano widoczny czerwony zegarek.

